



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN.

ILLUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

5)

Lecz momentalnie chwycony wpół, rzucony na ziemię, skopany zabłoconym, podkutym butem — dyszał wpół przytomnie...

Nad sponiewieranym w zwierzęcy sposób, zabrzmiął krótki rozkaz.

„Anbinden!”

Biedny, ledwo żywy Jurek wiedział co znaczy to straszne słowo! Patrzył przecież nieraz na te męczarnie kolegów, podciągniętych na sznurach pod ramionami w górę na drzewie, aż mdleli biedacy z bólu, nie mogąc dosięgnąć ziemi palcami, w wykręcającym stawu uścisku postronków.

Groza zjeżyła mu krwią polepione włosięta i ostatecznie stracił przytomność.

— Uciekać stąd! Byle gdzie, w świat! Uciekać z rąk tych oprawców w cesarskich mundurach! — Zatrzęsło Jurkiem do szpiku kości, gdy ocknął się wreszcie z omdlenia, w ciemnej małej norze, na wpół zgnitej macie palmowej, w areszcie!

— Pomścić się za krzywdę, za sponiewieranie i uciec precz, w daleką, wolną pustynię! O, gdyby mógł go dostać w ręce, to zwierzę z żółtym galunem! — rozmyślał, ściskając pięście.

Żądza mściwa sprawiała ulgę obolałej głowie, zduszonym pierśm, przekrwawionym policzkom.

Ale gdy się rozglądał po swej kazamacie, pojał wnet, jak trudno wykonać śmiałe zamierzenia!

Jak trudno uciec, jak jeszcze trudniej pomścić się!

Z tęgich brewion sklecony barak, który niegdyś za stację karawanom służył, obrócony obecnie na rodzaj koszar. Mieściły się w nim składy, kancelarie i areszta bataljonu. Okien nie było wcale, przez szpary w dachu zaglądał księżyc.

Oswoiwszy się z panującym mrokiem, dostrzegł chłopak z lewej strony cienkie przepierzenie a za nim rozbrzmiewał szept rozmowy, czy modlitwy.

Przyłożył ucho i uchwycił angielskie słowa. Ach, więc tak? Tam są zamknięci owi jeńcy angielscy, obecnie współtowarzysze niedoli.

Ostrożnie zaczął pukać w ścianę. Głos umilkł. Wtedy on, Jurek, odezwał się cichutko:

— Kameraden!

— Kto tam? odpowiedziano mu łamaną niemieczyną.

— To ten Polak, co wam tytoń dawał!

— Ach! Well! Good by! Co ty tu robisz?

— Zamknęli mnie, — jak i was!

— Jeden z nas już jest wolny!

— Jakto?

— Bo właśnie umarł przed chwilą...

Odmawiałem za duszę jego ostatni pacierz.

Głos z tej i z tamtej strony umilkł. Zamknęła im usta groza śmierci.

Jurek myślał...

— Za tą cienką ścianką leży trup?!

Jakie to dziwne! Umarł przed chwilą, tak cicho?

Wreszcie odezwał się znów do niewidzialnego sąsiada.

— A cóż ty teraz robisz?

— Ja? Więcej stąd! Dotąd nie mogłem tego uczynić, gdyż nie chciałem zostawiać mego towarzysza.

On by nie wytrzymał drogi przez pustynię — jeszcze raz! Mam już wszystko przygotowane...

— Ja też o tem samem myślałem, ale nie wiem jak to zrobić.

— Well. Wezmę cię ze sobą. Przyjdź tu do mnie...

— Którędy?

— Zaraz ci pokażę...

Cienkie deszczułki przepierzenia trzaskać poczęły jak pudełka od zapalek i wkrótce utworzył się spory otwór.

— Przełaż! Komenderował Kanadyjczyk.

— Ojej, boli mnie wszystko.

— To trudno. Niema ani chwili czasu.

Z pomocą nowego sprzymierzeńca Jurek znalazł się wkrótce w sąsiedniej celce.



Na ziemi leżał zimny i wyprostowany trup anglika daleki i już tak obojętny na wszystko!

Chuda, żółkła twarz, zżarta gorączką, patrzyła w powalę szklanemi, martwemi oczyma.

— No mały, co z tobą zrobili? pytał współczująco Tom Ilic oglądając posiniaczone policzki Jurka.

Chłopiec pokrótce opowiedział o swoim upokarzającym przejściu a tamten aż trząsł się z oburzenia.

— I armja co tak traktuje swoich żołnierzy, chce świat podbić? A, bydlaki! I to Europa, XX wiek!

Wtem słowa obu zamarły w gardle.

Ucichli nad słuchując.

Leciuchne niewyraźne skrobanie doleciało ich z zewnętrznej strony baraku.

— Kto to może być? — szepnął Jurek.

— Czekaj, ja wyjrzę!

Ostrożnie odsunął dawniej już widocznie przecięte belki i tarce i przechylił głowę.

Z drugiej strony rósł gęsty krzew tamaryszku.

Głowa anglika cofnęła się znów.

— To jakieś pokurcze arabskie, nożem dłubie w deskach. Nie umiem z nim się rozmówić.

— Ja zobaczę! szepnął Jurek i z kolei wsunął się między belki. Ale co radosa niespodzianka!

Z pośród gałęzi uśmiechnęły się do niego poczciwe, czarne ślipka jego pupila. To — „Cwał”!

— Chodź tu! — rozkazał mu. Chłopczyna, wślizgnął się do środka.

— Effendi! o Effendi! Ja znaleźć ciebie! Ja szukać! Ja widzieć wszystko! Ja podglądać!

Wolna pustynia czeka na ciebie!

Ja uciekać razem z tobą.

Szeik wrócić, bić znów. Chcesz iść ze mną? Ja przygotować wielbłądy; Jeden — dwa — trzy. Wy czekać na mnie pod lasem — jak księżyc będzie wstawać!...

Jurek chwycił go w ramiona, dorozumiawszy się z jego arabsko-turecko-niemieckiego żargonu, popartego obficie gestami, o co malecowi chodzi.

— I dla mnie tak się narażasz?

A jak cię złapią?

— Wielbłądy ścigłe. Wybrać ja najlepsze. Nie dogonić ich! A ja twój, Effendi. Ty był dla mnie jak brat!

— A twoja siostra?

— Ona bezpieczna. Pojechała z Karawaną do Adenu.

Jej nie ścigać. Mnie ścigać. Bo ja wziąć wielbłądy Szeikowe.

Bądźcie gotowi! Saalem Alejkum!

Zwinne ciało chłopca zniknęło w otworze, kołysał się jeno jeszcze krzak Tamaryszku...

Pani Mokrzycka odbywała swój codzienny spacer. To znaczy z domu na pocztę.

Bo nuż list przyszedł od Jurka?

Przecież to już — liczyła na palcach — 3 — 4 — 5 — 6 o więcej jeszcze! — tygodni od ostatniej wiadomości!! Na miły Bóg! Ostatnia — to gdzieś w marcu, a teraz maj zbliża się ku końcowi!

Szczupła, drobna jej postać w ciemnej narzutce przesuwawała się szybko pod krzywymi parkanami, wzdłuż chodników dziurawych.